

Wstęp

Decyzja o rodzeniu dzieci jest jedną z najbardziej prywatnych. Nawet jeśli wpływają na nią rozliczne czynniki zewnętrzne, to podejmowana jest (inna sprawa w jakim stopniu świadomie!) w intymności, wobec której nawet najbardziej agresywne państwo niewiele może poradzić.

Wiele państw jednak nieraz działało w kierunku zwiększenia lub ograniczenia przyrostu naturalnego. Czasem były to metody perswazyjne lub pośrednie, czasem zaś brutalne. Można apelować do ludzi o posiadanie dzieci lub o ograniczenie ich liczby. Można rozpowszechniać środki antykoncepcyjne lub zniechęcać do ich stosowania, nawet ich zakazywać. Można ułatwiać posiadanie większej liczby dzieci przez stwarzanie ułatwień dla rodzin wielodzietnych. Można rozdawać „becikowe”. Można zaplanować, że 12 czerwca 2007 r., w Dzień Rosji, powinno urodzić się dużo dzieci, a w konsekwencji dać dzień wolny od pracy urzędnikom 12 września i obiecać rodzinom, które uszczęśliwią siebie i kraj potomkiem akurat w przewidzianym dniu, samochód, mieszkanie i awans...¹

Z kolei można też propagować sterylizację kobiet i mężczyzn, czy administracyjnie ograniczyć liczbę posiadanych dzieci (jak w Chinach) i brutalnie egzekwować ustanowione zasady.

Polityka demograficzna, która w wypadku państw demokratycznych jest mniej czy bardziej sensowną polityką, w wypadku państw totalitarnych nieraz zmieniała się w szaleństwo. Totalitaryzm w ogóle źle toleruje zamkniętość sypialni, choć na ogół musi jednak pozostać za drzwiami. Czerwoni Khmerzy w Kampuczy posunęli się do wydawania (lub nie) zgody na śluby, rozdzielali

¹ Była to akcja „Urodzić patriotę w dniu Rosji”, prowadzona w Uljanowsku, czyli rodzinnym mieście Lenina (Wacław Radziwinowicz, „Jak w Uljanowsku poczęli i rodzili patriotycznie”, *Gazeta Wyborcza*, 27 VI 2007).

mężów i żony przy kierowaniu do pracy na różne tereny; uważali, że cała energia powinna kierować się ku realizacji celów produkcyjnych. Niekiedy takie działania, sprzeczne z ludzką naturą, bywały wzmocnione tendencjami nacjonalistycznymi, dla których w ogóle polityka demograficzna jest ogromnie istotna. Najgorzej działo się, gdy totalitaryzm łączył się z nacjonalizmem – co nieraz miało miejsce w dziejach. W Niemczech akcja „Lebensborn” miała przynosić idealnie niemieckie noworodki dla Hitlera. Za Ceașescu Rumuni, idący w ślady jakoby jurnych Daków, mieli przysporzyć krajowi wielu następców. W 1984 r. obniżono granicę wieku małżeńskiego dla kobiet do 15 lat, a gdy spadała stopa urodzeń obcinano pensje lekarzom. Środków antykoncepcyjnych nie było. W 1966 r. zakazano aborcji Rumunkom poniżej 40 roku życia, które miały mniej niż czworo dzieci. W 1985 r. podniesiono tę granicę do 45 lat. Kobiety w wieku prokreacyjnym zobowiązano do poddawania się co miesiąc badaniu lekarskiemu w miejscu pracy, co miało uniemożliwić ukrycie ciąży. Mimo to rozwinęło się oczywiście nielegalne dokonywanie aborcji. Paradoks sytuacji polegał jeszcze na tym, że staraniom o potęgę demograficzną towarzyszyła śmiertelność niemowląt tak duża, że po 1985 r. odnotowywano urodzenie dopiero po przeżyciu przez dziecko czwartego tygodnia – by polepszyć statystykę².

Specyficzną cechą nacjonalistycznej polityki demograficznej, realizowanej zresztą niekoniecznie w ramach totalitarnych, było przywiązywanie nadzwyczajnej wagi do kwestii „czystości rasy” i niechęci do mieszańców, rodzących się z „niewłaściwych” kontaktów. Ustawy norymberskie zabraniały małżeństw i stosunków seksualnych Niemców z Żydami. Reżim apartheidu w Afryce Południowej nie był w tej sprawie lepszy. Tendencja do związków jednogrupowych, realizowana choćby przez samo nastawienie grupy lub przez potępienie wyłamującego się, nieraz występowała jednak w dziejach, także w sytuacjach niedramatycznych.

Komunizm, zaprojektowany jako ustrój wszechogarniający, wypowiadał się na każdy temat – a więc także w sprawach powszechnie uważanych za intymne. W płaszczyźnie oficjalnej był bardzo moralny. Socrealistyczne powieści są tego odbiciem. W rzeczywistości wszystko wyglądało oczywiście inaczej – zarówno wśród partyjnych notabli, jak wśród ludzi bardziej przeciętnych. Komunizm przypominał w tym zakresie tradycyjną gromadę wiejską, której cechy zresztą bardzo często dziedziczył w różnych zakresach. Przypominał zamkniętą społeczność, w której na powierzchni zjawisk wszystko jest w porządku, a o seksie wręcz się nie mówi – podczas gdy po krzakach dzieją się różne rzeczy.

Jednocześnie komunizm, niezależnie od doktryny, w różnych sprawach potrafił być bardzo pragmatyczny. Nigdy oczywiście nie podważał doktryny otwarcie, ale często prowadził politykę taką, jaką uważał akurat za potrzebną

² Tony Judt, *Zapomniany wiek dwudziesty. Retrospekcje*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2011, s. 309.

lub jaka była mu wygodna. Z biegiem czasu sama doktryna stawiała się zresztą coraz mniej jasna; w coraz większym stopniu sprowadzała się do nielicznych imponderabiliów, bliskości ZSRR oraz podstawowej zasady, że ważne jest to, co akurat mówi aktualne kierownictwo partii komunistycznej. To, co ono mówiło, oznaczano na daną chwilę nalepką „marksistowskie”.

Polska, czyli kraj od 1956 r. w ogóle znacznie mniej przestrzegający doktryny niż inni „bracia” i czyniący ją coraz bardziej mętną, w sprawach rodzenia dzieci nie miała, jak się zdaje, wyraźnej polityki. Działała pod wpływem doraźnych potrzeb i tendencji. Najpierw trzeba było zwalczyć plagę chorób wenerycznych, będących *summa summarum* jedną z pozostałości wojny, a także konsekwencją powojennych ruchów ludności, przekształceń, zachwiania norm. Potem budowano Nową Hutę, a nie produkowano środków antykoncepcyjnych. Zresztą ludziom brakowało wówczas nie tylko takich środków; ich brak nie był więc niczym nadzwyczajnym. W 1956 r., wraz z kryzysem końca Planu Sześcioletniego oraz ogólną liberalizacją, potrzeby zaczęły choć trochę dochodzić do głosu, a realne życie przypominało o sobie. Zaczęto mówić o planowaniu rodziny, powołano pewne stowarzyszenia i instytucje działające w tym zakresie, w szkołach zaczęto uczyć nie tylko o pantofelku i królikach, ale eksperymentalnie wprowadzono przedmiot „higiena” (!), poświęcony życiu seksualnemu. Pojawiły się środki antykoncepcyjne – skądinąd mało pewne (prezerwatywy często pękały!). W 1956 r. uchwalono ustawę aborcyjną. Jak swego czasu chciano większego przyrostu naturalnego, zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich, wówczas zwanych „Odzyskanymi” (by „odzyskane” zaludniać Polakami), tak Władysław Gomułka, powróciwszy do władzy, był przerażony perspektywą napłyńnięcia na rynek pracy wyżu demograficznego, zrodzonego w powojennym entuzjazmie. Ten jego strach był zresztą jedną z przyczyn podnoszenia poziomu inwestycji (by przygotować miejsca pracy dla przyszłych robotników) – czyli przyczyną jednego ze zjawisk bardzo bogatych w konsekwencje dla dalszej historii kraju. Ten strach skłaniał też do posunięć na rzecz ograniczenia przyrostu naturalnego.

Wszystko to są sprawy zasługujące na głębszą refleksję. W różnych okresach stosunek państw komunistycznych do życia seksualnego, prokreacji i sytuacji demograficznej pozostaje do przebadania, co nie jest łatwe – z powodu małej liczby sformalizowanych stanowisk i w ogóle ograniczonych wypowiedzi na ten temat. Niniejszy tom jest próbą pójścia w kierunku pogłębienia badań. Obejmuje studium Piotra Barańskiego o powojennej walce z epidemią chorób wenerycznych, studium Aleksandry Czajkowskiej o ustawie z 1956 r., studium Agnieszki Wochny-Tymińskiej na temat oddziałów położniczych w PRL oraz Agaty Fiedotow o początkach ruchu gejowskiego w Polsce. Autorzy przeprowadzili swe badania w ramach przygotowywania prac magisterskich pod moim kierunkiem, w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 2005–2011.

Obraz, jaki się wyłania z zamieszczonych tu studiów, jest zróżnicowany. Opanowanie epidemii chorób wenerycznych było sukcesem. Ocena przyjęcia ustawy o dopuszczalności przerywania ciąży zależy od poglądów każdego z nas w tej sprawie; autorka w większym stopniu stara się zresztą referować poglądy niż je oceniać. Studium o oddziałach położniczych pozostawia natomiast jednoznacznie smutne wrażenie. Ponieważ oparte jest na listach kobiet rodzących, może być przesadnie czarne (w takich wypadkach na ogół piszą osoby niezadowolone; spontaniczne listy pochwalne w jakichkolwiek sprawach są rzadsze). Wyłania się z niego jednak obraz taki, że nie odważyłem się pokazać tekstu własnej córce, której termin porodu akurat się zbliżał. Choć działo się to w wiele lat po opisywanych zjawiskach, nie chciałem córki przestraszyć. Moment, który powinien być radosny w życiu rodziców, w świetle doświadczenia opisanego w listach i przekazanego przez autorkę rysuje się jako bardzo złe przeżycie. Ten obraz można traktować jako kolejny ciężar, obciążający ustrój, który w świetle własnej propagandy promieniował humanizmem. Choć listy, na których oparła się autorka, powstały już w chwilę po upadku komunizmu, nic to nie zmieniało. Opisana w nich rzeczywistość była jeszcze tamtą rzeczywistością. Z kolei obraz początków ruchu gejowskiego, zarysowany przez Agatę Fiedotow, jest ciekawy nie tylko dla refleksji nad owym ruchem, ale wiele mówi o społeczeństwie schyłkowego okresu PRL. W moim przekonaniu wszystkie zamieszczone w tomie studia mogą być zresztą dobrym punktem wyjścia dla rozważań szerszych niż tytułowe zagadnienie seksu. Historię można badać, startując po prostu z każdego punktu odbicia.

W ostatnim słowie dziękuję recenzentom, profesorom Mariuszowi Mazurowi, Małgorzacie Szpakowskiej oraz Tadeuszowi P. Rutkowskiemu za uwagi do poszczególnych artykułów i poparcie. Zbyteczne dodawać, że gdybyśmy mogli zastosować się do ich rozlicznych wskazań, praca by zyskała. Ponieważ nie zawsze mogliśmy, odpowiedzialność za jej ostateczny kształt tym bardziej obciąża wyłącznie nas, a zwłaszcza mnie.

Marcin Kula